



Biesiadny kompan

Złośliwi nazywają go syntezatorem marszczonym. Niewielu też chętnie przyznaje się, że za młodu obdarzyło miłością właśnie jego. Uważany jest za mało seksowny instrument, który nie budzi należytego zainteresowania płci przeciwnej. Bywa zdradzany z gitarą czy saksofonem, jednak w odpowiednich rękach potrafi rozpalic olbrzymią namiętność.



Fot. Karolina Gólkowska

– Kumple z podwórka nie rozumieci mojej fascynacji akordeonem. Dziwili się i pytali, co zachwycającego może być w takiej harmoszce, co to na niej kapele na wiejskich festynach przygrywają? Jakie dźwięki można z tego

wydobyć, co zagrać, prócz ludowych przyśpiewek albo biesiadnych kawałków? Twierdzili, że to dobre dla dziadka czy babci, ale nie dla nastolatka – mówi Szymon Miluski. Wyznanie „jestem akordeonistą” zazwyczaj spoty-

kało się z kpiącym uśmiechem, z zachwytem bardzo rzadko.

Dzieci głosu nie mają

W podsycaniu „iskry bożej” u Szymona pierwszeństwo miała jego mama Dorota. To ona zauważyła, że syn ma poczucie rytmu i dobry słuch. Niewiele się zastanawiając, wzięła niespełna dziesięcioletniego brzdąca za rękę, zaprowadziła do szkoły muzycznej i kazała uczyć grać.

– „Dzieci i ryby głosu nie mają”, więc nikt o zgodę mnie nie zapytał – wspomina. – Już na samym wejściu do szkoły uderzyły mnie mdły zapach substancji do pocierania strun i muzyka. Zewsząd dobiegające dźwięki coraz to innych instrumentów zlewały się ze sobą, tworząc bezładną kafeonię. I tak trafiłem na przesłuchanie kwalifikacyjne.

Sprawdzono moje predyspozycje słuchowe, rytmiczne i pamięciowe, po czym zaproponowano mi akordeon. Potem było już tylko pod górkę. Zajęcia z rytmiki, teorii muzyki czy kształcenia słuchu to jedne z wielu przedmiotów, jakie czekały na mnie w szkole muzycznej. Co pół roku miałem egzamin. Grałem też w trio akordeonowym, jednak bez większych osiągnięć. Na szó-

stym roku zostałem jedyną osobą w szkole grającą na tym instrumencie. Pozostali zrezygnowali, nie dali rady.

Zdradzony

– Po szkole muzycznej trafiłem do zespołu założonego przez moich kumpli. I choć potrzebowali gitarzysty, a ja nigdy wcześniej gitary w rękach nie miałem, dołączyłem do nich. To był mój pierwszy raz, gdy zdradziłem akordeon. Gitara okazała się świetną kochanką, jednak nie na tyle, abym porzucił swój sprawdzony instrument. Teraz mam w planach zakup nowego i lżejszego akordeonu. Koncertowy waży aż piętnaście kilogramów – mówi Szymon. – Muzykę lubię i lubiłem od zawsze. Grając, czuję się poniekąd czarodziejem, gdy za pomocą dźwięków maluję przeróżne obrazy i nastroje, ujmuję słuchaczy. Mimo tego poszedłem

na politechnikę. Z rozsądku i poniekąd przez dziadka, z którym dłużej przy starym maluchu zamieniło się w zamiłowanie do mechaniki.

– Tradycyjne „sto lat” na imieninach u cioci zawsze mogę zagrać, jednak nie biorąc pod uwagę kariery muzyka, wypadłoby mieć stałą pracę i zarabiać – dodaje. – Uważam, że mechanika i budowa maszyn to przyszłościowy kierunek. Z muzyki jednak całkowicie zrezygnować nie zamierzam.

Szymon w każdej wolnej chwili nagrywa nowe kawałki i wrzuca je do sieci. Jak twierdzi, chce poznać opinię innych ludzi na temat swojej twórczości i choćby komentarze były surowe, zrezygnować nie zamierza. – Może przy okazji uda mi się odczepić przypiętą do akordeonu biesiadną łątkę? Może ktoś przypomni sobie o schowanym w piwnicy starym instrumencie i znów zacznie grać? Kto wie.

ALICJA PIELICHOWSKA
alicia.pielichowska@o2.pl

Pogodnych świąt Wielkanocnych,
mokrego Dymgusa
oraz mnóstwa wiosennego optymizmu
wszystkim Czytelnikom „Szlifu”
życzy
Młodzieżowa Wszechnica
Dziennikarska



Rys. Alicja Plotek

Chopin się śmieje

Szkoła Muzyczna. Dwie godziny kształcenia słuchu, godzina audycji muzycznych, dwie godziny chóru, dwie godziny instrumentu wiodącego, a czasami jeszcze dodatkowa godzina z drugiego instrumentu oraz zespół muzyczny. Do każdej z tych lekcji należy być przygotowanym i gotowym na zdobywanie wiedzy i umiejętności.

Nikogo nie obchodzi, że to druga ze szkół, do których uczęszczasz i nikt nie przejmuje się, że nie masz kiedy przygotowywać się do sprawdzianów z przedmiotów, takich jak historia czy fizyka. Gdy decydujesz się na coś takiego, musisz być świadomy tego, co cię czeka – powtarzają do znużenia nauczyciele.

To jednak nie odstrasza ambitnej młodzieży, która z roku na rok coraz większymi grupami przybywa na przesłuchania. Co ich przyciąga? Pamiętajmy, że szkoła muzyczna to nie tylko muzyka poważna i zaduma nad utworami wirtuozów. To także twórczość własna i przede wszystkim świetna zabawa.

– To jedna z niewielu rzeczy, które wywołały u mnie tak skrajne emocje. Wiele wyrzeczeń związanych z obowiązkiem bycia na próbach powodowały, że czasami miałam już dość, ale przy-

chodząc do sali, gdzie lekcje to czysta przyjemność, gdzie granie i śpiewanie to wielka radocha, chęci rzucenia szkoły odchodziły w niepamięć – wspomina Patrycja Zapała, absolwentka SM pierwszego stopnia. – Dopiero później zrozumiałam, że można się tam nauczyć nie tylko gry na instrumentach czy teorii muzyki, ale również gospodarowania swoim czasem.

Teoria, że szkolna atmosfera może być miła i pozytywna zarówno dla uczniów, jak i nauczycieli w tym wypadku się sprawdza. Muzycy przekazują tu nie tylko swoją wiedzę, ale i zapał do grania oraz śpiewu. Często zarazają młodych adeptów także pozytywnym nastawieniem i uśmiechem. Wyglupy i żarty na tematy muzyczne, ale także pozaszkolne, są tu na porządku dziennym. Chętnie słucha się anegdotów oraz mniej znanych faktów o Schuber-

cie, Mozarcie czy Chopinie. Ważne, by uczniowie choć trochę się przygotowali, a cała nauka staje się frajdą.

Wychowankowie opowiadają mi także o wielu nowych znajomościach, które zostały zawarte w czasie tych kilku lat. Młodych muzyków łączyły najpierw wspólne zajęcia, koncerty, konkursy oraz pasja, a później wspaniałe przyjaźnie zawierane nieraz na całe życie. Można było też poznać wielu wspaniałych, nieco starszych muzyków, którzy pomagali radzić sobie ze stresem na scenie oraz zasypywali przydatnymi radami.

Szkoła muzyczna była dla wielu ciężkim okresem w życiu i niektórzy, niestety, nie sprościli wymaganiom. Wszyscy ci, którym udało się dotrzeć i zdać egzaminy końcowe, zyskali bardzo wiele. Umieją to jednak dostrzec dopiero, gdy wszystko się zakończy.

Najważniejsze, co im pozostaje, to niesamowite wspomnienia.

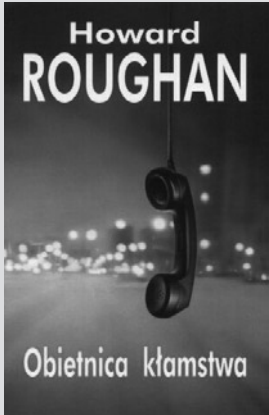
– Skończyłam pierwszy stopień na skrzypcach. To było wspaniałe przeżycie. Ludzie pełni energii i radości składali swoje pierwsze nuty w takty, takty we frazy, a te z kolei w całe utwory. Pamiętam pierwsze próby, grali jeszcze tak nieczysto i nierówno. Później z tego chaosu zaczęła wyłaniać się prawdziwa muzyka. Piękna, harmonijna, pełna emocji. Szkołę muzyczną mogłabym polecić każdemu, nawet jeżeli nie zamierza z tym wiązać przyszłości. Z perspektywy czasu widzę, jak bardzo mnie to rozwinęło, nawet w innych dziedzinach. Roboty nie było znowu aż tak dużo, a zyski

ogromne – z uśmiechem przyznaje Agata Szlachetko, absolwentka Szkoły Muzycznej nr 2 we Wrocławiu.

JULIA PŁOTEK
julia.plotek@gmail.com



Fot. Julia Plotek

Okiem
Recenzenta„Myślę,
więc jestem”

Każdy z nas chciałby wiedzieć, jak manipulować innymi. Dążyć do tego, żeby zachowywali się tak, jak chcemy. Zaskakujące intrzygi, ciekawe losy bohaterów sprawiają, że każdy, czytając książkę Howarda Roughana OBIETNICA KŁAMSTWA, dostrzega fakty, o których nigdy wcześniej w ten sposób nie myślał.

Głównym bohaterem, a zarazem ofiarą, zostaje znany nowojorski psycholog David Remler, autor bestsellera „Ludzkie wahadło”. W oparciu o doświadczenia swoich pacjentów i analizę ludzkiej psychiki stwierdził, że nie można podzielić ludzi na złych lub dobrych. Każde zachowanie jest zależne od sytuacji, w której znalazł się człowiek. Osoba z natury spokojna, mądra i poukładana, pod wpływem różnych impulsów i emocji może stać się nawet mordercą.

Ten dualizm istoty ludzkiej został perfekcyjnie wykorzystany przeciwko niemu samemu. Uwikłany w morderstwo musi wynająć niezwykle inteligentnych adwokatów, aby się z tego wyplątać. Nie jest łatwo. Opinia publiczna i media wydają szybki wyrok. Jest winny. Kluczową rolę odgrywa pewna nieznaną nikomu osoba, Tajemnicza Pacjentka, która mogła być wytworem wyobraźni doktora bądź też prawdziwą morderczynią. Zbrodnia prawie doskonała. Tylko przypadek sprawił, że sprawa tak skomplikowana została wyjaśniona i to na korzyść psychologa Davida.

Powieść wprowadza w świat psychoanalizy. Przez całą książkę przeplata się myśl „Nikt nie może mieć większego wpływu na twoje życie niż ty sam”. Ale czy na pewno? Czy nie jesteśmy tylko odbiorcami manipulacji, która nas zewsząd otacza? Patrzymy, ale nie widzimy. Słuchamy, ale nie słyszymy.

„Żeby być naprawdę dobrym szachistą, trzeba użyć wyobraźni. Musisz sięgnąć wzrokiem poza to, co jest przed tobą”. Tak. Ta książka zdecydowanie uczy myślenia. Nie da się o niej szybko zapomnieć. Jest to powieść sensacyjna z wątkami miłości, namiętności i zdrady. Sprawiająca, że nie tylko zaczynamy myśleć o ludzkiej egzystencji, ale i o sensie naszego życia.

MONIKA
DRABCZYŃSKA
monisia9@op.pl



U siebie wśród obcych

Zastanawialiście się kiedyś, ilu sąsiadom bez zawahania mówicie dzień dobry, ilu z nich znacie chociażby z imienia i możecie określić, pod którym numerem mieszkają? We wrocławskich blokach rotacje wśród mieszkańców są nieustanne. Czy zatem możemy czuć się bezpiecznie we własnym domu, nie wiedząc, kto żyje obok?

– Kiedy wprowadziliśmy się z mężem piętnaście lat temu, już po kilku dniach znaleźliśmy sąsiadów z naszego piętra oraz tych mieszkających niżej. Przez ten czas jednak sporo się zmieniło, niektórzy się przeprowadzili, inni zmarli, a ich miejsce zajęli nowi ludzie. Większość lokali w naszej bramie jest wynajmowana studentom, którzy zmieniają się praktycznie co roku – mówi pani Joanna mieszkająca w budynku przy ulicy Orzechowej.

Dystans czy zwykły egoizm

Mieszkańcy bloków w dużych miastach coraz rzadziej utrzymują zażyłe relacje ze swoimi sąsiadami. Nie mają ochoty nawet na pogawędkę o pogodzie, a co dopiero na rozmowę o swoim życiu. Ludzie z jednej strony usilnie chronią swą anonimowość, bo nie chcą stać się obiektem plotek, a z drugiej sami nie ingerują w życie innych, by nie wyjść na osoby wścibskie. Takie podejście odpowiada akurat dwudziestodwuletniej Patrycji.

– Przyjechałam na studia do Wrocławia z niewielkiej wioski, gdzie wszyscy wszystko wiedzą o innych, a sklep jest miejscem schadzek miejscowych plotkar, dlatego odpowiada mi ten dystans między mieszkańcami mojego bloku. Teraz nie muszę martwić się, co ludzie powiedzą, bo nikogo nie obchodzi moje życie, tak jak mnie nie obchodzi ich. Niech każdy żyje, jak chce, byleby nie robił krzywdy innym – stwierdza dziewczyna.

Obcy atakują?

Czasy, gdy mogliśmy liczyć na bezinteresowną pomoc sąsiedzką, chyba minęły bezpowrotnie. Główną przyczyną tego zjawiska jest właśnie nieznanostwo osób

żyjących za naszą ścianą. Ludzie są nieustannie zabiegani, a po całym dniu pracy rzadko kto ma ochotę na pogaduszki z sąsiadami czy budowanie więzi z mieszkańcami tego samego bloku i osiedla. Stale brakuje nam wolnego czasu, a jeśli już go znajdujemy, wolimy cieszyć się nim we własnych czterech kątach. Do integracji nie zachęca również fakt, iż często, zanim uda nam się zapamiętać człowieka spotykanego w windzie, dana osoba zdąży się wyprowadzić, a jej miejsce zajmie ktoś nowy. I tak w kółko.

„Lepszy sąsiad blisko niż brat daleko”

Mimo wszystko powinniśmy starać się mieć w swoim otoczeniu osoby, do których możemy udać się po życzy symboliczną szklankę cukru lub zostawić pod opieką dom na czas naszej nieobecności. Warto wymienić się numerami kontaktowymi z osobami mieszkającymi bezpośrednio pod i nad nami, by móc szybko zareagować w razie awarii. Wbrew angielskiemu przysłowiu twierdzącemu, że „dobry plot czyni dobrych sąsiadów”, starajmy się, by ploty te były możliwie niskie. Naprawdę, nie trzeba wiele, by

zbudować dobrą międzyludzką relację – wystarczy serdeczny uśmiech, pomoc starszemu panu z zakupami czy kobiecie z wózkiem. Powinniśmy troszczyć się, by wspólnota mieszkaniowa była

prawdziwa i realna, a ludzie nie dbali tylko o dobro własne, ale i powszechne.

To naprawdę bardzo miłe mieć świadomość, że możemy liczyć na pomoc osób, z którymi żyjemy pod jednym dachem. Wystarczy tylko chcieć i zrobić pierwszy krok!

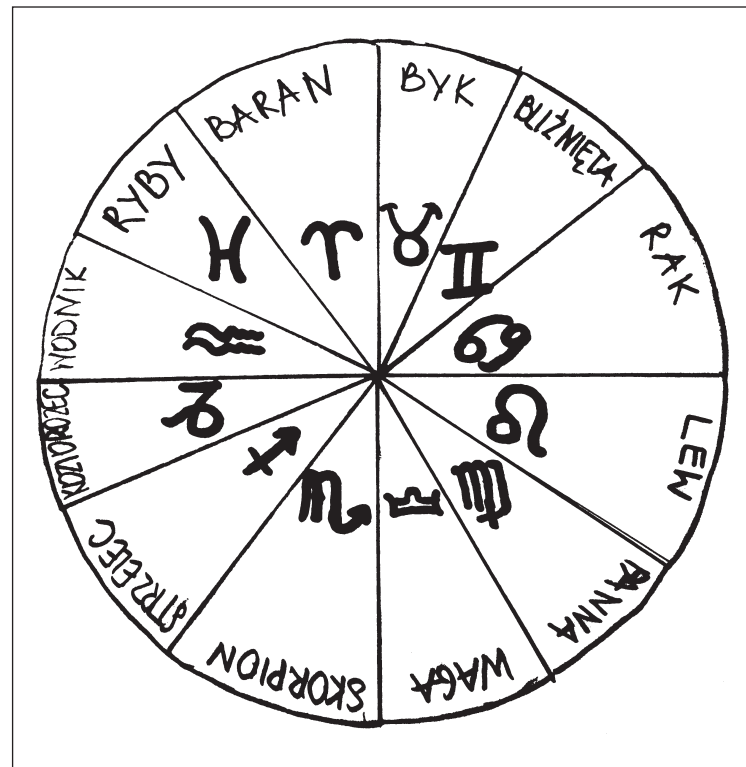
AGATA UDAŁA
agata.udala@gmail.com



Fot. Łukasz Rosiński

W szponach przeznaczenia

Otoczają nas z każdej strony – widzimy je w gazetach, telewizji, słyszymy o nich w radiu. Wzbudzają duże zainteresowanie, choć mało kto się do tego przyznaje. Mowa o horoskopach i ich oddziaływaniu na życie ludzkie.



Rys. Agata Ziobro

Ludzie pytani przeze mnie, co sądzą o „przepowiedniach”, odpowiadają bardzo różnie. Jedni traktują je z przymrużeniem oka, inni zaś uzależniają od nich swoje plany i decyzje, dotyczące niemal każdej sfery życia. Uważają, że horoskopy wyznaczają im ścieżki, którymi kroczenie ma zaowocować osiągnięciem szczęścia i spokoju.

– Uważam się za profesjonalistkę, dlatego nie chcę przekraczać pewnych granic. Swoich „klientów” traktuję jednostkowo, chętnie daję im wskazówki, ale nie narzucam im swoich racji. Doskonale wiem, że wobec przeznaczenia jest się bezradnym, nie da się go zmienić – mówi wróżka Ania.

Ludzie od lat przychodzą do niej, aby dowiedzieć się czegoś, co da im nadzieję na lepsze jutro. Nikt nie chce się przyznać do tego, że pierwszą przeczytaną rubryką w „najświeższej” gazecie jest właśnie horoskop. Czy wynika

to z tego, że chcemy przechrzyć los i sami nad nim zapanować? A może traktujemy to powierzchownie, a jednak przeczytane słowa głęboko zakorzeniają się w podświadomości i po czasie zauważamy, że działamy jak zaprogramowani, aby osiągnąć jakiś „zapisany gdzieś” cel?

– Tak naprawdę nie wierzę w horoskopy. Ale był w moim życiu taki czas, że potrafiłam czytać je codziennie. Mój punkt widzenia zmieniło przeczytanie książki „Sekret” Rhondy Byrne. Autorka uświadomiła mi, że przez czytanie tych bzdur człowiek nakręca się i działa nieświadomie tak, aby przepowiednia się spełniła. Dzięki tej książce zrozumiałam, że między marzeniami a kitami wciskany przez wszystkowiedzące wróżki jest duża różnica – opowiada Hanna, absolwentka wrocławskiej „trzynastki”.

Zostawmy horoskopy, których liczba znacznie wzrosła wraz z początkiem nowego roku, przestańmy kierować się „dobrymi radami” ludzi, którym płacimy za to, co tak naprawdę chcemy usłyszeć i pozwólmy wypełniać się przeznaczeniu.

JUSTYNA MATCZAK
justynamatczak@op.pl

To zdarza się tylko raz w życiu!

Z LYMARI DE LA RIVA, siedemnastoletnią Meksykanką, która w ramach Rotary Youth Exchange na rok przyjechała do Polski, rozmawiają Alicja Golon i Paulina Kubera

– Zwykłej papierkowej roboty przed samym wyjazdem jest bardzo dużo...

– Tak, na wymianę jadą tylko osoby precyzyjnie wyselekcjonowane przez Rotary. Niezbędne jest wysłanie zgłoszenia zawierającego imię i nazwisko, języki, którymi władasz, średnią ocen, dyplomy i opis twojej rodziny. Cały proces trwa prawie pół roku, a na dwa miesiące przed przyjazdem tutaj uczestniczyłam w dwóch konferencjach, na których zapoznano mnie z zasadami wymiany oraz zaprezentowano ambasadorów kraju. To wszystko rzeczywiście ciągnie się bardzo długo, ale ten wyjazd jest tego wart.

– Jak ten projekt wygląda w praktyce?

– Jestem na wymianie w Polsce przez rok, a w tym czasie ktoś z innego kraju mieszka w moim domu. Zdecydowałam się na wyjazd w ostatniej klasie liceum, więc przyjeżdżając tutaj, straciłam cały rok nauki w Meksyku. Mimo to chodzę do szkoły i prawie codziennie mam lekcje języka polskiego. Ta wymiana to taka szansa, która zdarza się tylko raz w życiu. Jest to najlepsza rzecz, jaką można zrobić, będąc w moim wieku.

– Jakież negatywne strony wyjazdu?

– Najciężiej jest zmieniać rodziny, z którymi mieszkasz. Szczególnie, kiedy jesteś daleko od domu, a podczas wyjazdu chcesz przebywać w dobrej atmosferze i czuć się kochanym. Chyba najtrudniej jest się rozstać z ludźmi, którzy jako pierwsi przyjęli cię pod swój dach, pomogli poradzić z nową sytuacją i zaaklimatyzować w nowym miejscu. Podczas całego wyjazdu zmieniasz miejsce pobytu trzy razy. Rodzina, w której obecnie się znajduję, pomaga mi w nauce polskiego, gotuje dla mnie, wspiera w rozwiązywaniu problemów. Jej członkowie robią wszystko, abym była szczęśliwa. Nie złością się na mnie, kiedy nie rozumiem, co do mnie mówią. Niestety, za miesiąc będę już w innym miejscu...

– Dlaczego tak się dzieje?

– Rotary chce, abyśmy zobaczyli, jak funkcjonują inni ludzie, ponieważ każdy z goszczących nas domów jest niepowtarzalny, a jego mieszkańcy prowadzą zupełnie odmienny, własny styl życia.

– Wróćmy na chwilę do kwestii aklimatyzacji. Jak szybko sobie z nią poradziłaś?

– Między Meksykiem a Polską jest dziewięć godzin różnicy, dlatego pierwszy tydzień był dla mnie męką. W nocy nie mogłam spać, a za dnia oczy same mi się

zamykały, ale do zmiany można szybko przywyknąć. Dla mnie jedynym problemem pozostaje kontakt z rodziną, który przez tę odległość jest znacznie utrudniony.

– Nas szczególnie zadziwił wasz wygląd zewnętrzny...

– Macie na myśli nasze marynarki? (śmiech). Dla nas, osób na wymianie, są one bardzo ważne. Dają nam poczucie wyjątkowości, ponieważ reprezentujemy w nich swoje kraje poprzez przyszyte do rękawa flagi narodowe. Podczas całego roku ich powierzchnia stopniowo zaczyna się zapełniać. Umieszczamy na nich wszystko, co pozwoli nam jak najlepiej zapamiętać chwilę, które przeżyliśmy na wymianie. Na marynarkach zawieszamy bilety lotnicze, dyplomy, ulotki, a także te najważniejsze – przypinki, którymi wymieniamy się z przedstawicielami innych narodów podczas pierwszego spotkania. To naprawdę cenne pamiątki, które pozostaną z nami nawet po zakończeniu tej wspaniałej przygody, by przypominać o tym wszystkim, co nas spotkało.

– Jest was bardzo dużo. Jakie relacje panują w tak wielonarodowościowej grupie?

– Kiedy wspólnie śpiewaliśmy kolędy podczas Wigilii, utwier-



Fot. archiwum prywatne

dziłam się w przekonaniu, że w czasie tej wymiany staliśmy się prawdziwą rodziną. Ta bliskość i szczere uśmiechy sprawiły, że czułam się wspaniale, mogąc być częścią tego wydarzenia.

– Czy ten wyjazd Cię zmienił?

– Wciąż ewoluuję za sprawą wiedzy, którą zdobywam, nauki nowego języka, przyjaciół z całego świata. Już patrzę na życie z innej perspektywy. Jestem pew-

na, że pod koniec całego projektu będę zupełnie inną osobą.

– Jak podsumowałabyś jednym zdaniem to, co teraz dzieje się w twoim życiu?

– „It's a lifetime in a year”, coś, czego doświadczą jedynie nieliczni.

– Dziękujemy za rozmowę.

ALICJA GOŁON

alicja.anna.g@gmail.com

PAULINA KUBERA

paulinakubera@interia.eu

Ameryko, okaż swe oblicze

– Zachwycając się Stanami Zjednoczonymi, najczęściej opieramy się na wykreowanej przez media opinii o wielkich miastach oraz najbardziej popularnych stanach, takich jak Floryda czy California – opowiada Kasia, uczestniczka amerykańskiej wymiany uczniowskiej.

– Znamy skojarzenia typu „prawo i duma narodowa na pierwszym miejscu”, „kraj ludzi wolnych, otwarty i głupi”. Rok temu zdania te nie wzbudziłyby we mnie żadnych emocji, dziś na każde z nich odpowiadam głośno: NIE!

Kapitan pokładu ogłasza: „Witamy w Polsce”. Minął rok, od kiedy po raz ostatni mówiłam w swoim ojczystym języku, widziałam rodzinę i przyjaciół. Wsiadam z samolotu, którego poprzednim przystankiem była oddalona o tysiące mil, wymarzona Ameryka. Wszyscy witają

mnie hucnie na lotnisku. Później zaczyna się niekończący ciąg pytań o legendarne Stany Zjednoczone, gdzie żyje się jak w raj – kończy Kasia.

Rozczarowanie

Przyszło mi mieszkać w południowo-wschodniej części Ameryki. Małe miasteczko Greenville, stan Tennessee, na pierwszy rzut oka idealne miejsce. Szybko okazało się, jak bardzo się myliłam. Największym stereotypem jest obraz otyłego Amerykanina, który nie może pochwalić się żadną wiedzą na jakikolwiek

temat. Jedzenie w Stanach jest inne. W tamtym regionie oparte głównie na fasoli, ziemniakach, kukurydzy i drobiu. Przyznaję, ciężko tutaj utrzymać smukłą sylwetkę, aczkolwiek liczba osób otyłych jest równa liczbie szczupłych mieszkańców.

Praktyka

Szkoły dają możliwość wyboru poziomu zaawansowania przedmiotów. Uczniowie w większości kierują się swoimi zainteresowaniami oraz predyspozycjami. Edukacja jest bardziej nastawiona na praktykę niż na teorię. Stąd wywodzi się błędne rozumowanie „głupiej Ameryki”.

Nieporównywalna jest komunikacja miejska. W moim miasteczku nie było nawet autobusów, poza tymi szkolnymi. Wszędzie porusza się samochodem, odległości nie pozwalają na jakiegokolwiek wędrowki piesze. Banki, apteki, sklepy, restauracje, praktycznie nigdzie nie trzeba wychodzić z samochodu. To z pewnością, poza wielkim konsumpcjonizmem, ma ogromne znaczenie na tzw. dodatkowe kilogramy amerykańskich obywateli.

Nierówni

Każdy miał mieć prawo do własnych decyzji, a inni mieli je

respektować, niezależnie od płci, pochodzenia, religii, poglądów i stanu majątkowego. Miało nie być podziałów, a wszyscy powinni żyć według zasady „każdy inny, wszyscy równi”. Jednak Tennessee to region zamieszkały przez ludzi konserwatywnych, bardzo religijnych, często o rasistowskich poglądach i uprzedzonych do wszystkiego, co nieznanne. Szacunek do flagi, codzienne wciąganie jej na maszt przed szkołą oraz przysięga wierności wszystkich uczniów i pracowników szkoły, były dla mnie zaskoczeniem. Są osoby, które żyją w przekonaniu, że nie ma lepszego miejsca na Ziemi, przez co nie respektują innych krajów.

Zdrowy rozsądek

Stawiając sobie pytanie czy Ameryka to hit czy kit, odpowiedziałabym, że ta kreowana w naszych głowach ma niewiele wspólnego z realiami. Oceniając ten kraj, nie bądźmy zbyt pochopni i nie wiermy w komedie (wielkie imprezy rodem z „Projektu X” też są zmyślane). Ameryka ze snów istnieje, może nie wszędzie, ale należałoby się teraz zastanowić czy to, w co wierzy znaczna część z nas, to nie przekłamanie.

Typowe marudzenie Polaków i przekonanie, że wszędzie żyje się lepiej, niż w naszej ojczyźnie, nie jest dobre. W końcu powinniśmy być dumni z tego, kim jesteśmy i skąd pochodzimy.

ANNA KĘDZIORA

konstancja.kedziora

@gmail.com



Rys. Alicja Golon

SZLIF ZAPRASZA
kino | nowe horyzonty

Zapowiedzi repertuarowe

Marzec przyniósł liczne premiery dramatów. Na ekranach ukazały się „Obietnica”, „Pozycja dziecka”, „Nauka spadania”, „Ojciec Szpiler”, „Shirley – wizje rzeczywistości”, „Artysta i modelka”, „Grand Budapest Hotel” oraz „Noe: wybrany przez Boga”. Szczególnie war-

to zwrócić uwagę na „Witaj w klubie” z oscarowymi rolami Matthew McConaugheya i Jared Leto. Fani dreszczowców powinni wybrać się na „Zabić bobra”, natomiast preferującym spokojne filmy polecamy „Mupety: Poza prawem” oraz „Stacja Warszawa”.

Stochomania

Skoki narciarskie to zimowy sport numer jeden w Polsce. Od pierwszych sukcesów Adama Małysza zyskał sobie rzeszę fanów. To ten sympatyczny pan z wąsem spowodował, że co weekend kilka milionów osób zasiadało przed telewizorem.

Nic w tym dziwnego, Małysz to sportowiec światowej klasy. W dodatku potrafił podbijać serca ludzi. Jest człowiekiem nader skromnym, pomimo ogromu sukcesów i wielkiej sławy. Nigdy woda sodowa nie uderzyła mu go głowy. Niestety, nic nie trwa wiecznie i po jego odejściu wielu wróżyło koniec popularności skoków. Sceptycy jednak szybko musieli zmienić swoje zdanie, bowiem już dwa lata później Adam Małysz doczekał się godnego następcy.

Kamil Stoch, bo o nim mowa, jest sportowym fenomenem. W wieku dwudziestu siedmiu lat został już mistrzem świata, dwukrotnym mistrzem olimpijskim oraz wygrał Puchar Świata. Z roku na rok prezentuje się coraz lepiej. Dzięki ciężkiej pracy i determinacji każdy kolejny sezon przynosi większe sukcesy.

Młody polski skoczek, podobnie jak Małysz, działa na ludzi jak magnes. Przyciąga ich nie tylko ze względu na postawę sportową, ale również z powodu

swej osobowości. To wiecznie uśmiechnięty człowiek z ogromnym zapałem do pracy i ambicją. Mimo sporych osiągnięć, jego apetyt na zwycięstwo jest wciąż nienasycony. W tym wszystkim nie ma jakiejś niezdrowej chęci wygranej, ten chłopak po prostu wie, czego chce i skrupulatnie realizuje swój plan.

Co ciekawe, Kamil Stoch w ogóle nie czuje się gwiazdą. Sam mówi, że mimo ogromnego sukcesu na Igrzyskach Olimpijskich w Soczi, jest cały czas tym samym człowiekiem. Na pytanie dziennikarza, czy przywykł do tego, że ludzie nazywają go mistrzem, odpowiedział: „Nie, nie, wolałbym, żeby wszyscy mówili do mnie tak, jak było wcześniej, ja mam na imię Kamil, na drugie Wiktor i każdy może sobie wybrać”.

Skoczek już jako dwunastolatek zapowiadał, że chce polecieć na Igrzyska i osiągnąć sukces. Film z tą przepowiednią zaliczył kilkadziesiąt tysięcy odtworzeń w Internecie. Natomiast medalo-

wy skok Kamila przed telewizorami obejrzało aż jedenaście i pół miliona widzów.

Zatem czy stochomania może zastąpić małyszomanię? Na tym etapie trudno powiedzieć, ponieważ przed Kamilem jeszcze kilka dobrych lat skakania. Może osiągnie on więcej niż jego idol z młodzieńczych lat? Wszystko przed nim. Pewne jest to, że zyskuje coraz to więcej fanów, zdobywa tytuł za tytułem i nie zanoszą się na to, aby coś miało ulec zmianie. W naszym kraju zblazowanych malkontentów mamy przykład, że da się wiele osiągnąć i nie jest aż tak źle, jak się wydaje.

BARTEK ŁUKOMSKI
barteklukomski95@gmail.com



Pan Henryk – jeden z fanów Stocha.

Fot. Łukasz Rosiński

Felieton Szlifu

Gdy jesteśmy obsługiwani, często mylnie zaczyna nam się wydawać, że czyni nas to lepszymi, wyżej postawionymi niż ta sztucznie uśmiechnięta buzia, która pyta nas schematycznie: „Czy w czymś

ma ambicji, aby starać się o lepszą pracę, albo jest po prostu beznadziejna i do niczego innego się nie nadaje”. Po co więc silić się na uprzejmości?

Nie zastanawiamy się nawet, ile krwi można napsuć swoim zachowaniem. Zdarzają się różne historie... Rzucanie butami, ubraniami, obelgi. Brzmi zaska-

Ktoś może pomyśleć, że takie zachowanie spowodowane jest atmosferą panującą w dużym mieście. Ludzie są dla siebie mniej życzliwi, bo widzą się pierwszy raz w życiu, nie mają pojęcia o swoim istnieniu. Nie do końca. Wszędzie znajdują się gbury, uważające się za pępek świata.

Wniosek z tego taki, że niezależnie od miejsca, wieku i płci nie zastanawiamy się nad naszym grubiańskim zachowaniem. Oczywiście istnieją wyjątki, którym serdecznie gratuluję dobrego wychowania. Ekspedientki na pewno uznają obsługę takiej osoby za przyjemność.

Myślę, że każdy z nas chociaż jeden dzień powinien popracować w handlu i na własnej skórze poczuć, ciężkie i uciążliwe jest to

zajęcie. Wtedy poszanowanie dla cudzej pracy wreszcie stałoby się nagminne, a może nawet zaczęlibyśmy doceniać pomoc i zaan-

gażowanie, jakie często wkładają w pracę zwykli sprzedawcy.

ANETA FOŁTA
aneta.folta95@tlen.pl

Klient nie pan

„pomóc?”. Klient był i zawsze będzie podstawą handlu. Większość z nas, wchodząc do sklepu, czuje się panami, wiedzącymi, aby sprzedawca zrobi wszystko, aby przekonać nas do kupna. Dodatkowo często patrzymy na obsługę z politowaniem... „A bo to pewnie się na studia nie dostała albo nie

kująco, ale nie zdarza się wcale tak rzadko. Brakuje poszanowania dla drugiej osoby, podstawowych zasad kultury. Niektórzy delikwenci nie używają nawet słów „dziękuję” czy „do widzenia”. Gorszy dzień? Pani ekspedientka na pewno poczuje to na własnej skórze.



Fot. Alicja Golon

Wszechnicę odwiedzili

Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska pomaga młodym adeptom sztuki pisania zdobywać wiedzę i umiejętności niezbędne do wejścia w dorosłe, dziennikarskie życie. Dzięki niej mają oni, co piątek, możliwość spotkań z politykami, aktorami, duchownymi, dziennikarzami oraz innymi ciekawymi mieszkańcami naszego miasta.

7 lutego 2014 r. Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska gościła Sławomira Zysa, członka polskiej reprezentacji w rycerstwie sportowym. Brzmi to dość nietypowo, ale pan Zys jest rycerzem z krwi i kości, jak sam to ujął. Prócz tego pracuje również jako policjant.

14 lutego członkowie Wszechnicy mieli okazję gościć Macieja Zegana, boksera wagi lekkiej oraz radnego miasta Wrocławia. Zdobył on wiele tytułów, w tym

mistrza Polski oraz mistrza Europy. Gość opowiadał nam między innymi o swoich trudnych początkach z tym sportem.

7 marca Wszechnica gościła Michała Pyzika, który jest przybocznym w 39 Wrocławskiej Drużynie Harcerzy „Bór”. Jego młodość i zaparcie powodują, że widzieliśmy w nim człowieka odpowiedzialnego i radosnego. Dzięki działaniu w harcerstwie nauczył się pokonywać własne słabości.



Polub nas na:
[facebook.com/szlif.lo13](https://www.facebook.com/szlif.lo13)



Szlif

Miesięcznik Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej

Adres redakcji: ul. Haukego-Bosaka 33, 50-447 Wrocław;
www.lo13.wroc.pl; szlif13@gmail.com

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Materiałów niezamówionych nie zwracamy.

Wydaje Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska działająca przy XIII LO we Wrocławiu, pod patronatem Stowarzyszenia Dziennikarzy RP Dolny Śląsk

Opiekun: Wojciech Chądzyński
Przewodnicząca MWD: Monika Drabczyńska
Zespół redakcyjny: Justyna Strzebak, Monika Świątek, Paulina Kubera
Szefowa fotoreporterów: Alicja Golon
Korekta: Patryk Bitner, Czcibor Ciostek, Aleksandra Przestrzelska
Przygotowanie do druku: I-BIS Usługi komputerowe. Wydawnictwo s.c. tel. 71 342 25 17, www.i-bis.com.pl

Miesięcznik redagują członkowie Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej



Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska organizuje cykliczne spotkania z dziennikarzami, politykami, aktorami i przedstawicielami innych ciekawych zawodów dla wszystkich entuzjastów sztuki dziennikarskiej. Chętnych zapraszamy w każdy piątek o godz. 15.00 do XIII LO przy ul. Haukego-Bosaka 33.